

Ostatnio można częściej zobaczyć na ulicach polskich miast flagi i symbole Unii Europejskiej niż biel i czerwień. Szczególnie często powiewają one w Gdańsku, na przykład parę dni temu podczas kolejnych obchodów powrotu Gdańska do macierzy. I pewnie nic w tym zdołnego. Sam pamiętam, jak podczas II Krajowego Zjazdu Delegatów „S” w 1990 roku rozchwytywane były gadżety z unijnym logo. Wszak zachodnia Europa dla wielu jawiła się wówczas jako kraina dobrobytu, wolności i szczęścia.

Ale dziś, gdy od 13 lat jesteśmy pełnoprawnym członkiem UE, poparcie dla naszej obecności w Unii nie oznacza, że nie możemy stawiać pytań o jej przyszły kształt. Mam nieodparte wrażenie, że wielu z tych, którzy tak ochoczo wymachują unijnymi flagami, pogodziło się już z tym, że mamy siedzieć cicho i płynąć w głównym nurcie, o kierunku którego decydują unijni potentaci. Wtedy z pańskiego unijnego stołu i nam coś się dostanie. Faktem jest, że obecność w UE wspiera zarówno nasze bezpieczeństwo, jak i napędza gospodarkę.

Ale faktem jest też, że każdy w Unii zabiega o swoje interesy, a kapitał – wbrew lansowanej przez lata tezie – bardzo często ma narodowość. Nie tylko można, ale wręcz trzeba stawiać nawet najtrudniejsze pytania, bo od odpowiedzi na nie często zależy sytuacja każdego z nas. Takie pytania czy postulaty stawia też „Solidarność” i nie zawsze są one zbieżne z postulatami rządzących. Klasycznym przykładem jest los pracowników delegowanych. W interesie firm transportowych jest, by móc konkurować stosując dumping płacowy, w interesie polskich pracowników, wykonujących często w stu procentach swoją pracę za granicą, jest, aby zarabiać przynajmniej na poziomie płacy minimalnej w danym kraju. Podobnie jest z tzw. Zrewidowaną Kartą Praw Socjalnych, która nie została ratyfikowana m.in. przez Polskę, a która – jak podkreśliło kilka dni temu Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „S” – powinna gwarantować stabilny fundament socjalny pracownikom wszystkich krajów UE. Prezydium wskazuje m.in. na konieczność ograniczenia możliwości pracy 16 lub 24 godziny na dobę, ograniczenia możliwości przedłużania okresów rozliczeniowych ponad 6 miesięcy czy odstąpienia od nietraktowania dyżuru jako czasu pracy (art. 2 § 1 ZEKS). Z jednej bowiem strony prominentni przedstawiciele polskiego rządu podkreślają konieczność odejścia od polityki konkurowania niskimi wynagrodzeniami, z drugiej – promuje się rozwiązania, które – niestety – świadczą o czymś przeciwnym. A przecież dopóki różnice między zamożnymi i biednymi członkami w UE w poziomie płacy minimalnej, średnich zarobków, wynikających z nich emerytur, zasiłków itp. będą nawet dziesięciokrotne, dopóty trudno mówić o Europie jednej prędkości, choćby nie wiem jak zaklinać rzeczywistość. Oczywiście dotyczy to też zasypywania różnic w poziomie rozwoju gospodarczego wyrażanego m.in. Produktem Krajowym Brutto przypadającym na głowę (per capita). Nie przypadkiem jeden z właścicieli globalnego niemieckiego koncernu obuwniczego kilka lat temu powiedział wprost – gdyby nasze buty produkowali Niemcy

pracownicy, a nie chińscy, bułgarscy czy... polscy, musiałyby one być pięciokrotnie droższe.

I na koniec trochę o wartościach. Słusznie odwoływała się do nich wielokrotnie ostatnio premier Beata Szydło. UE wymaga myślenia perspektywicznego, wymaga też poświęceń. Trudno je zaakceptować, jeżeli myślimy wyłącznie w kategoriach własnego interesu. Można wprawdzie mówić, tak jak odchodzący już niedługo prezydent Francji - „wy macie zasady, my mamy fundusze”, ale takie myślenie w historii Europy nigdy nie przynosiło efektów. UE przetrwa, jeżeli będzie budowana na dwóch filarach - jednym jest wyrównywanie poziomów rozwoju gospodarczego i zamożności społeczeństw unijnych państw, drugim zaś zespół wartości i zasad związanych z europejską tradycją, kulturą i wiarą. Bez tego zagubimy się w gąszczu unijnych rozgrywek, biurokratycznych przepisów, wzajemnych pretensji i oskarżeń, które zapewne będą się kończyły presją silnych na słabszych - wszystko pod hasłem jedności i demokracji. W myśl orwellowskiej sentencji, że wojna jest pokojem. A na końcu kolejne społeczności unijnych państw pokażą decydentom „gest Kozakiewicza”. To do sztambucha tych przedstawicieli totalnej opozycji, którzy z unijnej flagi uczynili pałkę do atakowania polskiego rządu.

Ale może tak źle nie będzie?

Jacek Rybicki